№ 6. 9. Lutego 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Systemy i popularyzowanie umiejętności.

Umiejętność każda — jako objaw życia duchowego — dwojaką ma dążność i prężność, w podwojnym kierunku rozrasta się i wzbogaca. Dążeniami temi, które się zarówno w każdym pojedynczym umyśle, jak i w zbiorowych osobach i w całych systemach objawiają, są: pociąg ku coraz wyższej doskonałości, i popęd ku coraz obszerniejszemu rozpowszechnieniu.

Co do pierwszego, umysł prawdziwie umiejętności poświęcony i myślący — nie poprzestanie na żadnym stopniu rozwoju, nie zadowolni się żadném, choćby i wysokiém osiągnieniem; lecz z pierwotnego założenia swego według praw wynikłości postępuje szczeblowo ku coraz wyższym rezultatom, ku doskonałości, w nieskończoność. Że w życiu codzienném często napotykamy ludzi, którzy stanąwszy na pewnym stopniu zadowolnią się, i przestaną w umiejętności postępować; lub że w dziejach umiejętności zdarzają się długie lata stagnacji i skrzepnięcia, nie zbija to wcale twierdzenia naszego. Takie zahamowanie w pół-drogi, pochodzi albo z unużenia sił duszných lub z innych wad psychologicznych, albo też ztąd, iż przy budowie systemu umiejętności zakradnie się jakaś — choćby najnieznaczniejsza usterka przeciw owemu pionowi ducha, przeciwko konsekwencji; który to błąd w coraz dalszych ogniwach coraz bardziej mnożąc się i potęgując, w końcu systemat przywieść musi do otwartego zaprzeczenia pierwotnemu założeniu — przywieść musi „ad absurdum." Natenczas umiejętność tak długo postępować nie może, póki nie znajdzie się jasny rozum i ręka śmiała, któraby mozolną a często wielce wielbioną budowę aż do błędu dostrzeżonego rozrzuciła, i w nowym kierunku nową, pewniejszą drogę ku doskonałości wskazała. W ten sposób powstają i upadają systemy umiejętności.

Lecz takie stopniowe i powracające rozwijanie się umiejętności — jak-kolwiek jest naturalném, i przez nieudolność rozumów prawie koniecznem, — jednak pobieżnie sądzącym wydaje się częstokroć iściem na omacki, błąkaniem się po krainach marzeń i domysłów. Ta niedostateczność przy mnogich innych przyczynia się też znacznie do zawad, na jakie umiejętności w swém drugiém dążeniu do upowszechnienia natrafiają. Nierównie bowiem większa część ludzi opanowana i zajęta pracą i znojem, lub też użyciem w świecie zewnętrznym tyle tylko zajmuje się poznawaniem i myśleniem, ile na niej potrzeba życia codziennego i nigdy zupełnie nie przytłumiona ciekawość ducha wymusi. Ludzi takich nic bardziej od prac umysłowych nie odraża, jak to przekonanie, (jeśli je powziąść zdołają) że to, co sobie z mozołą przyswoili, jest nieprawdziwém i błędném. Dodajmy do tego brak czasu i zamiłowania, a łatwo pojąć, ile potrzeba zachęt, podniet i ponęt, aby umiejętnościom otworzyć wstęp do umysłów ogółu społeczeńskiego, aby uprawą i oświatą ducha wznieść, ułagodzić i uobyczaić życie ludowe.

Systemy nigdy nie stały się własnością ogółu; w potomność przechowują się one po bibliotekach w księgach martwych, a w teraźniejszości w księgach żywych. Do ogólnej świadomości ludu wejdzie tylko to, co albo jakkolwiek mylne—jest przecież niezbędném do zaspokojenia jego potrzeb zmysłowych i umysłowych, albo też to, co nad wszelkie wątpliwości prawdziwém jest, a w życiu prakty-

czném dość częste zastósowanie znaleść może. Tam, gdzie życie umysłowe we wszystkich warstwach społeczeństwa jest rozbudzoném, i do dalszego rozwinięcia potrzebuje tylko przewodnictwa, tam dzieła początkowe i książki dla ludu co do treści i formy mogą być swobodniejszemi i mniej krępowanemi. Potrzebują tylko być nieprzesadnemi i w wykładzie jasnemi.

Lecz gdzie jak n. p. u nas wszystko jeszcze w uśpieniu, tam dzieła mające rozpowszechniać umiejętności lub nauki daleko więcej względów zważać, mnoższym warunkom i wymaganiom zadość czynić muszą. U nas dzieła takie nietylko muszą zaspakajać ciekawość, lecz ją rozbudzić; nietylko nie zrażać oschłością wykładu, lecz przynęcać jasnością i wdziękiem; nietylko nauczać, lecz zarazem i bawić. Dla tego niezbędném jest prawie, aby w dziełkach tak zwanych popularnych, obok głównego zajęcia dla rozumu znajdowały się także zadowolenia i dla innych władz duszy. Względy i odnoszenia się do stosónków i potrzeb życia codziennego, stwierdzanie rozumowań przez doświadczenie, czynność rozsądku i poruszenie wyobraźni przeplatane wraz z złotą nicią głównego przedmiotu stanowić powinny całość pożyteczną i przyjemną.

Jeżeli gdzie, to tu najskładniej zastósować można dawne przysłowie: altum sapere noli (za wysoko rozumem nie sięgaj); jednakże nie wynika ztąd, ażeby prawdy wyższe i rezultaty głębszego myślenia miały być wykluczone z dzieł takich. Owszem one powinny być celniejszemi zadaniami autora, jeżeli tylko prawdopodobnie przyjąć można, iż będą zrozumiane, i dla swej praktyczności w życiu powszechnie się przyjmą. Niemniej też dzieła popularne niepowinny schlebiać absolutnie wyobrażeniom i pojęciom ogólnie przyjętym, i potakiwać zastarzałym błędom dla tego, że są upowszechnione, gdyż w ten sposób chybiłyby celu i powołania swego. Jakkolwiek nie mogą nigdy przyjmować charakteru polemicznego, i przeczącego, niemniej przeto mają święty obowiązek wytępiać błędy i usuwać mylne pojęcia, lecz zarazem i powinność: w miejsce usuniętego fałszu postawić nową prawdę, a za nie i nigdy nie pozostawiać miejsca tego próżném, gdyż wtedy analogicznie do słów ewanieli — miejsce jednego błędu zastąpiło-by siedem gorszych.

STUDENCI.

(Ciąg dalszy.)

Jednego wieczora siedzieliśmy tak na grupy podzieleni w rotondzie, słońce ledwie było zaszło i w całéj przyrodzie nastało milczenie; tylko nimfy nadwodne rozmaitych barw często koło nas przelatywały.

Opodal od naszego siedzenia była sadzawka naokoło szuwarem i łoziną zarośnięta. Zenia co chwilę wstawała by jedną z tych nimf złapać, nareszcie zmęczona daremném bieganiem usiadła, a na jéj ramieniu jak ze słoniowej utoczonem kości, usiadła szafirowa nimfa ozłocona blaskiem zorzy wieczornéj. Chcąc ją schwycić na ramieniu Zeni spłoszyłem, a nimfa uleciała ku sadzawce.

Zenia zawołała z żalem: Wielebym dała zało, aby mieć tę nimfkę.

Na te słowa Jasio poskoczył ku sadzawce a Zenia chciała pobiedz za nim, lecz jéj p. Lonicera wzbroniła tego. Gdy zaś Zenia pomimo zakazu p. Lonicery pobiedz chciała, rzekła taż surowym tonem: Zenia wróci.—

Zenia stanęła jak wryta, patrząc chwilę za uganiającym nad brzegiem sadzawki Jasiem, potém blada wolnym krokiem wróciła i usiadła tuż przy p. Lonicerze, spierając główkę na ramieniu tejże. P. Lonicera nieprzerywając swego wykładu, spojrzała z udziałem na Zenię, a przyłożywszy rękę do jéj serca, kiwnęła głową jakby się przekonała o słuszności jakiegoś domysłu. Po téj wymownéj, chociaż niemej scenie, nadbiegł Jasio, niosąc prześliczną szafirową nimfę, ale cały był przemokniety, blady i drżący od zimna.

Cóż ty zrobiłeś Jasiu — zawołałem.

Biegąc za nimfą, odpowiedział, wpadłem po pas w wodę, a żem się nie mógł prędko z mułu wydobyć, więc przeziąbłem mocno, ale teraz już mi ciepło.

Ale gdzież tam ciepło, rzekła pani Lonicera, aż się trzęsie z zimna.

I to wszystko dla.... zaczęła mówić Zenia, ale p. Lonicera przerwała jéj mówiąc:

Dla głupiej nimfy, to prawdziwe dziecińčasto; i siliła się przytém na ton strofujący, chociaż nie mogła utaić rozczulenia.

Jasio jako strofowany tłumaczył się, że niebiegałby za tą nimfą, ale ona się pannie Zeni tak podobała. Tymczasem p. Lonicera powstawszy wezwała nas, abyśmy wrócili dla chłodu do pokoju, Jasiowi zaś z troskliwością nakazywała, aby natychmiast poszedł do domu, zrzucił

z siebie przemokłe suknie i do łóżka się położył. Jasio z wielkim ociąganiem się pożegnał nas, wrócił się jeszcze dwa razy za nami po różne zapomniane drobnostki a właściwie po „dobranoc” od Zeni, która przez chwilę bała się przemówić i oczy podnieść aby nie zdradzić swego wzruszenia.

Tego samego wieczora jeszcze miała p. Lonicera długą rozmowę sam na sam z Zenią, a ja będąc wtedy w ogrodzie, widziałem przez okno przypadkiem, że Zenia mocno płakała i mówiła coś z wielkim wzruszeniem, kładąc rękę na sercu, jakby zaręczała coś; i p. Lonicera łzy ocierała, potém Zenia całując ręce p. Lonicery, skryła płacząc twarz na jéj piersiach, p. Lonicera zaś zasłoniła twarz swoją chustką, jak czynią mocno płaczący. Nakoniec ustały obie, dały sobie ręce jakby zawierały przymierze. Zenia rzuciła się w ramiona p. Lonicery, ucałowała jéj rękę i poszły do bawialnego pokoju, gdzie wszyscy byli zgromadzeni.

Na drugi dzień mój służący, a oraz przyjaciel drugiego rzędu, opowiadał mi, że Jasio przyszedł do domu wczora skądś całkiem przemoczony, że go ekonom strasznie wybił, a dziś Jasio leży chory w łóżku. Pobiegłem do niego i doznałem nadspodziewanie zimnego przyjęcia od obojga rodziców. Ekonomowa pielęgnowała Jasia w gorączce leżącego z tém poświęceniem, jakiego tylko matka kochająca jest zdolną, ojciec zaś Jasia wrócił był właśnie z miasta, dokąd odwiózł lekarza a przywiózł dla syna lekarstwa. Gdym się pytał o zdrowie odpowiedziała ekonomowa:

Ot, ta widzisz pan jak się ma, i z wielką niechęcią poglądała na mnie.

Ekonom przystępywał co chwila na palcach do chorego, który właśnie spał, i przysłuchiwał się oddechowi jego, potém znowy siadł w kącie, wzdychając i zasłaniając twarz rękoma, nareszcie wyszedł z domu; żona pytała się odchodzącego, kiedy wróci na obiad, ale on odpowiedział: Eh, daj mi pokój z obiadem, ja nie będę nic jadł. —

Tymczasem się Jaś przebudził, a ja przystępując do niego wziąłem go za rękę i rzekłem:

Jakże się masz biedny Jasiu? nato ozwała się matka z goryczą:

Tak, tak biedny, a toż to pięknie, kiedy państwo biednym ludziom głowy zawracają.

Jaś przerwał jéj wołając tylko błagającym głosem: Mamo! oni temu niewinni. Matka tylko się odzéwała potém półgłośną przerywaną mową z szyderstwem: Hm, tak, niewinni: wielemożne panny — biednego chłopca bałamucić to umieją. Podczas tego Jaś wypytywał się mnie o rzeczy zupełnie obojętne, nareszcie przyciągnął mię do siebie, i szepcząc zapytał się co Zenia robi; ja rozumiałem, że mu największą przysługę wyświadczę, gdy opowiem com widział przez okno. I nieomyliłem się, bo Jasio z największém zachwyceniem ścisnął mię obiema rękami za rękę i przycisnął ją do ust swoich, wołając stłumionym głosem: „Ach! ona dla mnie cierpiała.” Matka przestraszona przybiegła do łóżka wołając: Jasiu dla Boga nie irytuj się, a odpychając mnie łagodnie prosiła abym poszedł. Jasio odchodzącego mnie chwycił za rękę i ucałował pałającemi usty mówiąc: „Zanieś to Zeni.”

Poszedłem a wróciwszy do domu, dowiedziałém się że Zenia słaba, nie wolno jéj było wychodzić z pokoju. Więc udałem się do Zeni do pokoju, zastałem ją leżącą na sofie ubraną, spierała bladą twarz swoją na marmurowo-białéj ręce, którą włosy jéj czarne zaczesane „à la garçon” w części pokrywały dzieląc się na pojedyncze kędziory. Przeciw mojemu zwyczajowi usiadłem przy niéj i schyliwszy do ręki, którą podpierała głowę, ucałowałem ją, szepcząc jéj przytém do ucha: „To od Jasia chorego.” Niemyślałem, że na mnie uważano, ale przekonałem się o tém w krótce, gdy p. Lonicera wchodząc z dwiema siostrami mojemi do pokoju, zawołała z uśmiechem:

„Cóżto się Władziowi stało, jakaż to czułość naraz go napadła.”

„A Władziu, ozwała się Tecia, tyle razy mię szczypiesz, bijesz, łaskoczesz, ale nigdyś mnie jeszcze nie pocałował.”

„Chodźże tu ty dziki chłopcze i daj mnie także całuska,” powiedziała druga.

Zenia cała zarumieniona, starała się odwrócić uwagę od swego wzruszenia śmiejąc się i wołając: „Idźże, idź Władziu i pocałuj wszystkie, kiedy im taka zazdrość.” Ja uczyniłem to z wszelką czułością a oraz niezręcznością piętnastoletniego chłopca, który piérwszy raz w życiu całuje dziewczynę. Z siostrami to mniejsza, rzuciłem się im na szyję, pogniótłem kołnierzyki, zmierzwiłem włosy; starszéj, która była znacznie wyższa, uwiesiłem się na szyi aż zawołała: Władziu zadusisz mnię!

Ale z p. Lonicerą to sęk — stanąłem i niewiedziałem co robić. „Pocałujże w rękę” zawołała któraś z sióstr. — Ale mnie się w téj chwili wydało, że ona za młoda na to aby ją całować w rękę z tém uszanowaniem, z jakim całowałem matrony, a jednak niemiałem śmiałości całować ją z tą poufałością i czułością co siostry; tymczasem ona mnie wybawiła sama z kłopotu, pocałowała mnie pierwsza, mówiąc: „Mnie wolno — wszak ja o tyle starsza od niego, a on jeszcze dziecko.”

Niewiedziałem czemu przejęło mnie coś jak elektryczny strumień, oddałem jéj jak najszczérsze pocałowanie, a potém z niedoznanym nigdy zapałem przycisnąłem jéj rękę do ust i okrywałem pocałowaniami, mówiąc jakby przez sen: „Ja p. Lonicerę kocham.”

Głośny wybuch śmiechu obudził mię z tego zachwytu, odstąpiłem zapłoniony i ze łzami w oczach — pytałem prawie gniewny starszą siostrę: Czegóż się tak śmiejesz?, a gdy ona nieprzestawała śmiać się, pytałem:

„Czy ja może co złego zrobiłem?”

„Nie, nie,” rzekła p. Lonicera, kładąc poufale rękę na moim ramieniu, a siostra przystąpiwszy pocałowała mię

ze śmiechem w czoło i rzekła: „Nie gniawaj się ty dzikusie, nie było to nic złego, wszakże to nasza druga matka, idź pocałuj jeszcze raz, ale w rękę.” Uczyniłem to i uciekłem prędko z pokoju.

Niemogłem pojąć stanu, w jakim się znajdywałem, serce się tłukło w méj piersi, jak gdybym z pół godziny biegał największym pędem, nogi podemną drzały, a w głowie biły wszystkie tętna.

Pobiegłem do mojego pokoju, aby się schować przed ludźmi; lecz nie udało mi się to, bo zastałem tam wszystkich naszych męzkich gości, którzy jak zwykle przed śniadaniem, zeszli się do naszego pokoiku i palili cygara. Jednak tym razem odbywali jakąś bardzo uroczystą naradę, p. Achille mówił właśnie z wielkim zapałem; drudzy, t. j. Józio i p. Maurycy słuchali go z wielką uwagą. Spostrzegłszy to, gdym otworzył drzwi chciałem się cofnąć, ale p. Maurycy z rozkazującą niemal miną, dał mi znak abym wszedł. Wszedłem więc i rad byłem, że mogłem usiąść w kącie, niezwracając uwagi na siebie.

Z długiéj mowy p. Achille nic w moim umyśle nie utkwiło, jak tylko, że wiele bardzo mówił o ludzie, o Polsce, o młodzieży; a do nas się zwracając, wołał z zapałem: „Razem młodzi przyjaciele, przemawiam do was słowami wielkiego piewcy naszego, który naród nasz z poziomu, w którym pełzał, ogromem swych pieśni wyczarował do szczytu pierwszych w chrześcijańskiéj oświacie narodów! — razem mówię, ramię do ramienia, bo na waszych ramionach spoczywa wszelka nadzieja ludu naszego; dzwignijcie lud ten z poziomu czynów, jak on go z prochu umysłowości dzwignął, wynieście go na szczyt wielkości czynów, niechaj świat zagrzmi odgłosém waszego słowa budzącego naród z uspienia, niech się wstrzęsie w zaporach swoich, niech runie ten spruchniały gmach stary!” — tu uderzył nogą tak mocno w podłogę, aż się cały pokój zatrząsł, a okno słabo osadzone wypadło do ogrodu — „a na gruzach jego powstanie nowy...” W tym sensie mówił daléj, ale ja nieuważałem na dalszy tok mowy, bo usłyszałem szelest koło okna, od którego wszyscy prócz mnie byli odwróceni, i widziałem, że się ktoś tam krzątał. Tylko koniec mowy zwrócił moją uwagę, gdy p. Achille zawołał: „Podajcie mi ręce na znak przymierza, i przyrzeknijcie, że w tym duchu działać będziecie.”

W tém zawołano nas do śniadania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspomnienia Afryki i Hiszpanii.

(Ustęp z życia.)

(Dokończenie.)

Jednego tedy wieczora poszliśmy z Izabellą widzieć ów sławny balet. Sala była oświecona à g i o r n o, ozdobiona kwiatami; publiczność była liczna, na balkonie kilka dam, a obok nas znalazł się nieznajomy z Almeda. — W krótce po naszém przyjściu orkiestra dała znak i sześć tancerek ubranych w krótkich spodniczkach, przeszywanych złotem, w jedwabnych ponczochach, w żółtych trzewikach, w towarzystwie sześciu Andaluzjanów, rozpoczęły balet przy odgłosie kastanietów. — *Cachucha*, jako taniec wstępny, został żywo wykonany, potém wystąpiła naprzód jedna tancerka, pełna wdzięków, ułożenia, powabów, piękna od stóp do głów. — Muzyka zaczęła grać jednę z tych aryi powolnych, któréj zwroty powtarzały się bez końca. — Tancerka rozpoczęła lubieżne *solo* wyrażające całą grę uczuć, namiętności, marzeń. Zachwycającym tańcem przedstawiła sen w puszczy, spotkanie w cieniu drzew, miłość w namiocie, wybuch wzbudzonych namiętności, opór—wszystko to łatwo było odgadnąć — i jeszcze coś więcej!

Dla czegóż taniec, równie jak muzyka nie ma obudzać poezyi, którą oddycha?

Piękna tancerka wszystkie uczucia poetyczne wyjawiła z całą duszą, jéj oko pałało ogniem, jéj lica się rumieniły, postać się uginała, kastaniety z całym zapałem biegały w jéj rękach, kochanek jednak nie przybywał; w końcu okiem pełnym zapału, spojrzała na mnie, i z dumną postawą sułtanki rzuciła mi chustkę. Z razu nie pojąłem znaczenia téj gry; upojony jednak zachwycającym widokiem tej czarodziejki podjąłem chustkę. — Natychmiast wszystkie kastaniety się odezwały, a widzowie poklaskiwać zaczęli. — Położenie moje nadzwyczaj mnię zmieszało, tak względem publiczności, a jeszcze więcéj względem Izabelli, która rzucała na mnie spojrzenia dwuznaczne, zdradzające podejrzenie niejako poprzednich stosunków z tancerką, i powiedziała coś nieznajomemu, który cały czas robił usiłowania, aby się jéj przypodobać.

Gra daléj postępywała, a tancerka nie przestawała swoich *piruetów* jakby dla lepszego okazania swych zachwycających powabów, któremiby najstarszego potrafiła oczarować. — W końcu niby zwyciężona, przyklękła na jedno kolano, jakby chciała się zdać na łaskę publiczności, muzyka grać przestała, tancerka zwolna się podniosła, i spokojnie siadła obok swéj matki.

Po skończonem *fandango i boleros*, ktore się aż do godziny 1 po północy przeciągnęło, pospieszyłem oddać chustkę baletniczce, podałem rękę Izabelli; lecz jakby piorun padł między nami, stała się od tej chwili zimniejszą i obojętniejszą.

„Izabello — czemu jesteś tak posępną?” zapytałem jéj, gdyśmy szli ku domowi.

„To mój kaprys” — odrzekła sucho.

„Rozumiem, kaprys do nieznajomego, który był twoim sąsiadem podczas baletu.”

„Podobnie jak ty do baletniczki, gdyś jéj poszedł chustkę wręczyć.”

Ha ha ha! zaśmiałem się mimo wolnie — czy miałabyś

być zazdrosną? śmiej się wraz ze mną, odrzekłem żywo chciałem ją przycisnąć do siebie; tą razą uczułem opór.

„Izabello, gdybym odgadł, że tobą zazdrość powoduje, stałbym się dumnym; lecz ty tylko żartujesz, a ja się śmiać muszę — ha! ha! ha!“

„Twoje serce zdolne szafować uczuciem“ rzekła z przyciskiem. —

„Gdyby i tak było, przez to kochać ciebie najmocniéj nie przestanę” — odpowiedziałem bez zastanowienia; zapomniałem téj chwili jak niebezpieczno igrać z uczuciem kobiety namiętnej, zapomniałem, że karać umieją wyrządzoną zniewagę swej próżności, zapomniałem, że czytałem romans pod tytułem „*Zemsta Hiszpanki.*”

Jak piorunem rażona wyrwała swą rączkę z pod mego ramienia, i jak sarna poskoczyła ku domowi do swej sypialni.

Na drugi dzień Izabella nie pokazała się wcale; dni następnych dostrzegłem w niej humor cierpki, mało mówiła, na moje pytania krótko odpowiadała; widocznie była zagniewana, czy obrażona. Wszelkie moje uwagi i przedstawienia nie miały miejsca, zostawały bez skutku.

Przedtém zwykle wieczorem towarzyszyłem donnie Izabelli na Almeda, lub do teatru dla słuchania dobréj muzyki i spiewaków nomandzkich, lub też słabéj prozy niektórych dramatów tłómaczonych z francuzkiego. —

Czasami spędzaliśmy chwile w ogrodzie pośród uroczych marzeń i projektów, jakie tylko bujna fantazja nasza nastręczyć nam mogła. —

Ogród po za domem, mały, lecz gustownie urządzony, gęsto zasadzony drzewami figowemi, daktylowemi, pomarańczowemi, ozdobiony kląbami kwiatów — w pośrodku altana otoczona kasztanami, których cienie chroniły nasze zapalone głowy od upału, był miejscem, gdzie każdą wolną chwilę spieszyliśmy sobie poświęcić; — tamto, pośród woni kwiatów, projekta, marzenia następowały jedne po drugich.

Już trzy dni minęło, jak brakło sposobności, raczéj dobréj woli Izabelli, aby jéj towarzyszyć w zwyczajnych przechadzkach. Jednak wieczorem pospieszyłem do ogrodu podumać, właściwie aby napotkać Izabellę, dla wynurzenia sobie wzajemnych nieporozumień.

Za zbliżeniem się do altany po przez gęste liście kasztanów, usłyszałem szelest, późniéj jakieś niewyraźne głosy — przystąpiłem bliżej — wielki Boże! co za widok niespodziany uderzył oczy moje; ujrzałem donnę Izabellę w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Z początku sądziłem, że jest wraz z don Fernandem, lecz jakież zadziwienie niepodobne do wiary, gdy tym mężczyzną był ów nieznajomy z Almeda, ów sąsiad Izabelli podczas baletu, owe złowrogie widmo, które mnie prześladowało we śnie i na jawie.

Otóż — pomyślałem — co znaczy gorąca miłość nietylko Hiszpanki, lecz wszystkich dam całego świata; prędko powstaje, jeszcze prędzej gaśnie, lub téż się zwraca do nowego przedmiotu.

I znów nadstawiłem ucha, spojrzałem, ile tylko wzrok natężyć mogłem, i o wielki Boże! wszakżeż on trzyma jéj śliczną rączkę w swéj dłoni, pieści się nią, całuje, a ja na to patrzyć muszę; ha zdrajczyni! to nie do wytrzymania! — i postąpiłym krok jeden naprzód ku altanie, lecz jeszcze się wstrzymałem, aby co więcej dojrzeć. Tu uczułem wrzącą zazdrość grającą w méj piersi. — Może to zwyczaj krajowy, jak wiele innych, aby mieć kilku kochanków, pomyślałem po chwili, lecz przecież miłość na całym świecie jest jednaka, a więc jeśli mnię kocha, nie powinna kochać innego, i z tym postanowieniem zrobiłem krok naprzód ku altanie, aby spłoszyć tę miłosną parę.

„Aha! teraz wyraźniej pojmuję twój kaprys Izabello” — zawołałem, wpadłszy jak bomba między oboje.

„Ach!” wykrzykła Izabella i wyskoczyła z altany.

„Co to znaczy?” zawołał nieznajomy i chwycił za sztylet, którego rękojęść błyszczała u pasa.

„Tutaj są schadzki, w tym ogrodzie, w téj saméj altanie, gdzie tak często wynurzaliśmy sobie nawzajem nasze uczucia,” zawołałem wpół po hiszpańsku.

„Muszę panu oświadczyć, że serce donny Izabelli nie należy więcej do niego, obraziłeś ją swém postępowaniem z baletniczką, obraziłeś ją swemi słowami....”

„A pan kto jesteś, co się mieszasz do tego?” zawołałem zniecierpliwiony.

„Jestem nateraz jéj *Cavaliere servante*, a jeśli to panu nie wygodnie, to się sprobujemy” i żelazo błysło w jego dłoni. Ja byłem bezbronny, cofnąłem się krok w tył, i zmierzyłem od stóp do głów mego przeciwnika, mego rywala, który tą razą nasunął mi na myśl bohatera Cervantesa. —

Hiszpania jak dawniej tak i teraz jest ojczyzną awanturników. Od czasów Fernanda Korteza, Pizzara i tylu innych, charakter się jéj nie zmienił. Są to ludzie odważni, przedsiębierczy, gotowi próbować całego szczęścia swego w jednym rzucie kości, gotowi poświęcić swe głowy na korzyść ludu; lecz ten ich płomień jest chwilowy, jak skoro namiętność gaśnie uspakajają się, ich niezdolność prędko się wyjawia.

Uważając ruchy mego przeciwnika, zbliżyłem się znów do niego, i rzekłem: „Jak skoro serce donny Izabelli jest w pańskiej mocy, więc już do mnie nie należy, więc gdybyśmy sobie nawet głowy pourywali, stan rzeczy by się nie odmienił, a onaby się z nas obydwóch śmiała. Nic mi zatem nie pozostaje, jak z wszelkich faworów, jakiemi się szczycić mogłem, abdykować na korzyść pana, rzekłem na pół żartobliwie.

Mój przeciwnik nie spodziewał się widać tego filozofi-

cznego rozwiązania kwestyi miłosnéj; dla tego długo się we mnie wpatrywał, w końcu powiedział:

„Pójdę oświadczyć słowa pańskie donnie Izabelli.”

„Możesz pan robić, co mu się podoba,” i z tém rozstaliśmy się; zostałem jednak panem placu, zostałem w altanie dla rozważenia téj całéj sceny. — Jeśli mi jest niewierną, pomyślałem, więc nie wartą tego, abym próbował szczęścia w pojedynku na sztylety, co mi było rzeczą zupełnie obcą, więc lepiej zrobię, gdy się oddalę z miasta i postanowiłem wyjechać, w nadziei, że się upamięta, a ja znów będę mógł powrócić dla ustalenia lepszéj, pomyślniejszej przyszłości.

Co zamyślałem, postanowiłem uskutecznić. Przy obiedzie wyjawiłem Don Alejowi i Donnie Francisce, że nieprzewidziane okoliczności, wymagają méj obecności w Paryżu i że natychmiast będę musiał opuścić dom i osoby tak mi przychylne, towarzystwo tak miłe.

Izabella nie rzekła ani słowa, nie zdradziła swego uczucia najmniejszym poruszeniem, co było nową pobudką do wykonania mego zamiaru. Może niewierzyła mym słowom, memu postanowieniu, może do końca pragnęła utrzymać swą powagę; może téż istotnie przestała mnie kochać, będąc już zajętą nieznajomym z Almeda.

Tego jeszcze wieczora zamówiłem miejsce w dyliżansie do Barcelony. Na drugi dzień przyszedłem pożegnać całą rodzinę, poszedłem rozstać się z Izabellą.

Zastałem ją w tym samym usposobieniu jak dawniej, dostrzegłem niejako, że się wstydziła swego kroku względem nieznajomego; lecz ani jednego wyrzutu, ani jednego słowa o tém nie wspomniałem. — Chwyciłem jej rękę, obsypywałem pocałunkami, nie broniła się; pragnąłem aby pierwsza zrobiła krok do zgody, do pojednania, — lecz ani słówka.

„Izabello! żegnam cię, rozstać się musimy, — niechcę zagradzać twemu szczęściu, którego zapewnić bym może nie potrafił.... adieu.”

Jéj ręka drzała, czułem konwulsyjne poruszenia, lecz starała się ukryć wzruszenie, ani jednego uścišnienia, a oczy na dół spuszczone; ja poskoczyłem ku drzwiom, obejrzałem się raz jeszcze, jéj spojrzenie spotkało się z mojém, w oku łza błysła, a ja wybiegłem na ulicę.

Don Fernando odprowadził mnie do dyliżansu, opowiedziałem mu rzecz całą, starał się mnie jeszcze odwrócić od mego kroku, lecz już było za późno, — odjechałem z obietnicą rychłego powrotu.

Z sercem pełném żalu, przepełnioném dziwnym jakimś smutkiem puściłem się w podróż, żegnając Kadyks, Andaluzję, które w początkach sprawiły mi tyle powabnych nadziei, obiecywały taką uroczą przyszłość!

Jedna tedy chustka, spowodowała moją miłość spowodowała nadzieję; inna znów chustka zerwała to wszystko.

W drodze nie napotkałem nic interesującego, coby wzruszonemu umysłowi memu sprawić mogło roztargnienie; nic nie napotkałem prócz mnóstwo drewnianych krzyżów, gęsto porozstawianych przy drogach, nic nie słyszałem, prócz pomieszanego odgłosu dzwonów Sewilskich, gdzieśmy się zatrzymali na popas.

Za przybyciem do Barcelony napisałem list do Izabelli, pełen słodkich wspomnień: bez goryczy, bez wyrzutów i żałowałem tylko, że tak łatwą się stała w odmianie uczuć, przypomniałém jéj tę lubą chwilę w Algierze, gdzieśmy sobie poprzysięgli miłość wieczną. Lecz cóż jest wieczne na tym świecie? — nic podobno! a tym bardziéj miłość.! — miłość fantastycznéj Hiszpanki. Na drugi dzień wsiadłem na statek parowy, który mnie wiózł do Marsylii; nie było tam już nikogo, ktoby dzielił moje wrażenia, moje uczucia, jakto było w podróży morskiéj z Afryki do Hiszpanii.

Powracałem sam jeden; czasem tylko westchnienie uleciało w stronę Kadyksu, lecz myśl jéj niestałości, popychała mnie do szukania nowych wrażeń, aby zagłuszyć głęboko utkwione wzruszenia z przeszłości. Z poznania Izabelli tę korzyść odniosłem, że poznałem Hiszpanią, Andaluzję, a mianowicie jedną własność więcej w sercu kobiety! —

Spieszyłem do gwarnego Paryża, gdzie łatwo zapomnieć się dają wszelkie gwałtowne poruszenia serca i umysłu.

W miesiąc po moim powrócie do Paryża odebrałem z Hiszpanji list następującej treści:

Kadyks, dnia 17. Września 1845. r.

List twój z Barcelony mocno mnie dotknął. Nie mogłam wierzyć, abyś był tak ostrym sędzią moich postępków. Pospieszam dla tego wyjawić ci rzecz całą.

Twoje obejście się z baletniczką mocno mnie ubodło, lecz nie równie więcéj słowa jakiemi mnie dotknąłeś, gdy powracaliśmy do domu; zraniły one moją miłość własną, lub jak ty nazwiesz próżność kobiéty; a któraż jéj nie ma? Postanowiłam się pomścić zniewagi, chciałam ci dać uczuć, jak nie właściwie ze strony mężczyzn drażnić słabą stronę kobiéty. Gra się rozpoczęła, w któréj rolę dać musiałam Don Sebastianowi, szkolnemu koledze mego brata, którego sądziłeś być nieznajomym. Cała scena w altanie nam się powiodła, skutek był przewyborny, widziałam to silne wrażenie jakie odebrałeś, ja téż zatryumfowałam! Chciałam cię jeszcze upokorzyć, chciałam żebyś winę sobie przypisał, żebyś krok zrobił do zgody; lecz się zawiodłam. Nie sądź przeto, że będąc Hiszpanką, twoja Izabella była ci niestałą. Nie chciałam ci okazać całéj boleści, jaka mnie ogarnęła przy twoim odjeździe; sądziłam że żartujesz; gdy się przekonałam o prawdzie, żałowałam mego postępku, mojéj próby, która mi dowiodła,

żeś mnię kochał, bo byłeś zazdrośny. Jeśli więc pamięć chwil ubiegłych, jeśli myśl o kochance, jeśli twe uczucia nie wygasły, nie zostały zwrócone w inną stronę, to mam nadzieję, że pospieszysz raz jeszcze, ujrzeć i zostać obok kochającéj cię

Izabelli.

Nie spodziewałem się nic podobnego ze strony Izabelli; piękny ten list, pełen czułych oświadczeń, nadzwyczaj pochlebiał méj miłości własnéj; dla tego siadłem natychmiast, aby pospieszyć z odpowiedzią.

Wyraziłem całe wrażenie, jakie sprawiły na mnie jéj słowa, opisałem żal i tęsknotę, jakie ogarnęły moje serce i umysł, przepraszałem za nieostrożność w wyrażeniu, które spowodowały nieporozumienia, w końcu obiecałem powrócić do Kadyksu, lecz nie prędzéj jak z początkiem następnego roku.

Mais l'homme propose, Dieu dispose; nieprzewidziane wypadki zaszłe w Krakowie i Galicyi, spowodowały mój powrót do kraju. Oddaliłem się w stronę przeciwną mych skłonności, mych uczuć, a miejsce błogiéj przyszłości, jaką znaleźć się spodziewałem obok pięknéj Andaluzyanki zastąpiło wspomnienie. Bo też

Wszystko podpada przemianie
A wspomnienie pozostanie.   J. O.

Korespondencya literacka.

Z Babina nowego, feria tertia post dominicam „Risum teneatis.”

Co to jest kochany redaktorze, że na ciebie zawsze krzyczyć (nie wiem dobrze czy gramatyka pisać każe krzy*czyć*, czy krzy*czeć*, więc wybierz co ci się podoba) *) muszą? Jest u któregoś tam narodu (niewynalezionego jeszcze nawet w roku 1848 ani 1849) przysłowie, że kiedy kto się żeni to na niego wygadują, a kiedy kto umiera to go chwalą, ale o tobie kochany redaktorze przeciwnie. Ledwieś umarł (w postaci „*Postępu*”) kiedy na ciebie wygadywać zaczęli jak kulikowskie baby i byliby cię niezawodnie powiesili, gdyby się nie bali żeś ty gotów i na tamtym świecie z postępem wystąpić. Ale to jest już *fait accompli*, więc do rzeczy.

Otóż wygadują na ciebie, jedni że cię nie rozumieją — ja wiem co ty na to powiesz: *ad impossibilia non datur obligatio:* kto cię rozumieć nie może ten nie ma obowiązku do tego, więc z temi nie ma co robić: ale drudzy cię rozumieją i są niekontenci z ciebie.

I słusznie mój kochanku.

Jak można było np. w *Jasełkach* (wprawdzie tam podpisane moje nazwisko, ale: ileż to Bibuł na świecie), w tak podłém teatrum wystawiać znakomitości naszej literatury; bo żeś tam Smolkę wystawił to mniejsza, on bez tego liberałem był, więc zasłużył na despekt publiczny; ale — ale koryfeuszów naszego pismiennictwa w szewskich wystawić jasełkach!! To ci poczytujemy za *crimen læsæ majestatis* ja i wszyscy, — nie ci co tam są wystawieni, ale ci, których tam nie ma.

Potém drukujesz „Studentów!” Czyś ty zapomniał, że studenci u nas wszelki kredyt stracili przez rok 1848? chociaż niewydawali żadnych kredytowych papierów — (przepraszam, bo nawet i to było. *Red.*) — Co nam czytać jak twój Władzio, Józio lub Jasio kochali się w Zeni, lub w jakiéj Kaśce i za to rózgą brali; to minione czasy i nikt sobie owych zawstydzających katastrof nie lubi przypominać. Czemu lepiej nie piszesz jak to my *póżniej* po skórze dostali, jak *dziś* dostajemy, to choć czasem także zawstydza ale przynajmniej więcej interessuje: nad tamtém człowiek machnie ręką i powie sobie „*At smarkacze:*” a o tém czasem jak wspomnie o wieczornej godzinie to zapłacze aż mu się dzieci pobudzą *).

Teraz dalej kochanku, niedosyć żeś splamił powagę literackiego pisma humorem, drukujesz — o zgrozo — *Zemfirynkę*.

Nie! — pomyślałem sobie kiedym to czytał, i fajka mi z ust wypadła — ten człowiek oszalał.

Zemfirynkę! człowieku, wszak jeszcześ młody i choć zezowaty i rudy, to przecież mógłbyś się ożenić — a teraz zepsułeś sobie interes ze wszystkiemi panienkami, mianowicie pannami dobrego tonu. A co gorsza — bo możeby która jeszcze w niedostatku innych i ciebie wybrała — ale ciociami, mamami, madamami i wszystkiego rodzaju *ami*, (nawet z tym *Ami*, którego Zemfircia swoim westchnieniem spłoszyła.) To największa niepolityka w świecie; zobaczyć, że odtąd wszystkie Zemfircie młode i stare, panny i niepanny zezem na ciebie patszyć będą.

Potém, jakby chcąc te lekkomyślne wybryki naprawić drukujesz „*Samsona*” jakieśtam „*Domki rodzinne*” jakieśtam „*Wspomnienia;*” ktoby się dziś takiemi bawił rzeczami. — Co to może mieć za wpływ na oświatę publiczności? Wszakże wiesz, że nie uczymy się niczego z poezji i z powieści ale z elementarzów, komeniuszów, kodexów i t. p.

Nareszcie piszesz serjo także brednie. To bardzo poważnie o *komedji*, to się narzucasz, za adwokata polszczyzny gdzieś tam w Ślązku, to znowu bałamucisz nam chłopców i każesz się uczyć klasycznej literatury. Ale cieszę się, że to ci się nieuda; przynajmniej moje chłopcy, jak się dotąd nie uczyli nic tak i nadal nie będą.

Nakoniec, na domiar wszystkich głupstw twoich, między

*) Redakcja kładzie oboje zdając się na sąd gramatyków.

*) Redakcja musi się wytłumaczyć przed szanownym korespondentem, że chciała drukować coś w jego guście, ale nieprzewidziane przeszkody uczyniły to niepodobném.

innemi, piszesz przeciw tendencyjnej literaturze, przeciw mięszaniu polityki do literatury pięknej.

U nas, gdzie życie polityczne do tak wysokiego stopnia rozwinięte; gdzie o wszystkim taka wolna jest dyskusja, gdzie wszystko polityką tylko się bawi — u nas wykluczać politykę z literatury jest zbrodnią.

Może się boisz kozy — co ci to szkodzi — byle cię capy nieposzturkały — ręczę ci, że gdybyś pisał o polityce, miałbyś więcej o — dwadzieścia abonentów.

Zawsze twój nieprzyjaciel,
Nicpotem Bibuła.

TEATR.

Dnia 1 Lutego przedstawiono na korzyść pani Aszpergerowej melodramat pięcioaktowy, pod nazwą: „Zamek Kenilwort" — przerobiony z powieści Walter-Scotta. Osnowa jego pokrótce następująca:

Hrabia Lester, faworyt i kochanek królowej Elżbiety pokochał miss Emmi Robsard, wykradł ją, i tajemnie zaślubił. Miłość żony jednak nie przeszkadza mu w miłostkach z królową. W processie wytoczonym przed królową przeciw uwodzicielowi Emmy wybawia go z kłopotu tylko przebiegłość dworzanina jego Warneja, który siebie wymienia jako uprowadziciela i małżonka téjże. Królowa odwiedza hrabiego w zamku jego; Emmi ma być publicznie przedstawioną jako żona Warneja, lecz z obrażoną dumą i z nienawiścią przeciw temuż, odrzuca tę propozycyę. Ucieka z zamku Kenilwort tajemnie, udaje się do królowéj, i ją błaga o pomoc i ochronę przeciw prześladowaniom Warneja. Ale i tu przewrotność i przebiegłość tegoż ostatniego odnosi zwycięztwo. Udaje ją przed królową jako obłąkaną, i z rozkazu téjże odbiera jako swoją małżonkę.

Hrabiemu Lester Emmi staje się zawadną i niebezpieczną; do tego udaje się Warnejowi ściągnąć na nią ciężkie podejrzenie o złamanie wiary małżeńskiej. Dla tych pobudek hrabia wydaje na żonę swoją wyrok śmierci, a Warnej odprowadziwszy ją do zamku Kenilwort ma go wykonać.

Wnet potém przekonywa się o niewinności swéj żony, wysyła więc pogoń za Warnejem z odwołaniem swego rozkazu, i sam pospiesza — ale wprzód jeszcze idzie do królowej, wyjawia jéj wszystko, wytrzymuje gniew jéj, a potém już nic nie ma pilniejszego, jak pospieszyć do zamku Kenilwort; — przybywa tam — — ale już za późno!! —

Pani Aszpergerowa rolę Emmy grała z wielkiém przejęciem się i zarazem z artystycznem panowaniem nad przedmiotem swoim, a z zadowolnieniem nie dostrzegaliśmy tym razem owych niemiłych skrzywień twarzy, których pani A. przedtém w scenach boleści i walk wewnętrznych nadużywała.

Nie mniéj téż przyznać musimy, iż p. Radzyńskiej w oddaniu roli królowej Elżbiety w ogólności zupełnie się powiodło, choć niektóre ruchy oczu i rąk przypomniały nam czasem wyższą jej w komice doskonałość. Co do innych ról, przytoczę żywcem słowa Lessinga: „Zaledwie odważę się o grze innych aktorów w téj sztuce co powiedzieć. Jeżeli bowiem ciągle tylko nad tém pracować muszą, aby błędy pokrywać, i mierny utwor jako tako utrzymać i podnieść, natenczas i najlepszy z nich tylko w dwuznaczném świetle się okaże. A jakkolwiek niechcemy niesmaku sprawionego nam przez autora poszukiwać na aktorach, toż jednak nie jesteśmy w usposobieniu oddać im wszelką sprawiedliwość, na jaką za usiłowania swoje zasługują."

Dramat ten, jakkolwiek ułożony z powieści genialnego autora nie bez zręczności i znajomości scenicznych effektów, nie uszedł jednakże przywar i wad przyrodzonych wszystkim dramatom przerabianym z powieści. Wyjąwszy kilka scen opowiadających, cała sztuka postępuje działaniem i zdarzeniami. Pełno w niéj ruchu, życia i plastyki, i tych scen wyrazistych i malowniczych, któremi Scott tak celuje. A jednak całość nie zadowolniła wcale, chociaż powiedzieć nie można, że się nie podobała. Pochodzi to z braku umotywowania charakterów. I tak się zwykle stać musi: działania zbierają się scena po scenie w dramat, a powody, związek wewnętrzny, słowem całe uzasadnienie pozostaje w powieści.

Wiemy dobrze, iż wielka niestety część publiczności w teatrze szuka nie użyć estetycznych, lecz zaspokojenia ciekawości, i że kiedy afisz nie czerwony, to w teatrze najczęściej pustki. Na benefis trzeba było koniecznie sztuki nowej. Jednakże wybor tej nazwalibyśmy nie dobrym, gdyby się dowieść dało, iż można było zrobić lepszy.

Doniesienie literackie.

Księgarnia Behra w Berlinie ogłosiła prospekt i rozpisanie prenumeraty na nowy słownik języka polskiego. Według zapowiedzenia w prospekcie dzieło to ma być uproszczeniem, spopularyzowaniem i w pewnej mierze sprostowaniem i uzupełnieniem słownika Lindego. Nowy słownik księgarni Behra ma oprócz zachowania obecnego stanu języka piśmiennego, obznajomić czytającą publiczność z właściwościami dyalektów w obręb mowy polskiej wchodzących, a do rozumienia pisarzy miejscowych tak potrzebnych.

Ze wszech miar życzyć wypada, aby dzieło to jak najbardziej upowszechnioném zostało. Wychodzić będzie co kwartał po zeszycie 10cio arkuszowym; prenumerata na całe dzieło trzytomowe talarów 6 — (10 złr.)

Nakładem tejże księgarni wyszedł słownik angielsko-polski, polsko-angielski z przyłączeniem gramatyki języka angielskiego; tomów 2 — cena tal. 6.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej A. B. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.